

Wstanie i posprząta. Jutro.

Teraz poczyta.

Włączy też telewizor; na później; a nuż zaskoczy; jak we wtorek.

Teraz poczyta. Czytanie jest w porządku; kiedy czyta, zawsze może przerwać, może przyłożyć głowę do poduszki, i tak leżeć, albo nawet zasnąć, a potem wrócić dokładnie w to samo miejsce. Może nawet wziąć do czytania *Długie pożegnanie*, w ogóle byle jaki kryminał, nawet z tych, co je zna prawie na pamięć, tyle razy już je czytała (najwięcej to chyba tego Chandlera; może z sześć, siedem razy).

Weźmie książkę do łóżka. I kieliszek wina. Jeden.

A posprząta jutro. Wstanie i posprząta.

Tak beznadziejnie się czuje, tak nie ma na nic sił, że gdyby był tu ktoś z nią, i próbowaliby rozmawiać, to byłaby może w stanie zdobyć się na kilka zdań; pojedynczych; jedno od drugiego oddzielone by było pewnie godzinnymi odstępami.

Więc może lepiej, że jest sama, bo taka rozmowa ani ciekawa by nie była, ani przyjemna.

Posprzątać trzeba (ale jutro). Bałagan już jej nie pomaga, już ją – raczej – dołuje; nie ma żadnego błota, rzygów czy innego syfu, wygląda jednak okropnie ten bajzel. Do tego, co zobaczyła kiedyś, jak poszły z matką do wuja Konrada, dawno, dawno temu, właściwie przed wiekami, nigdy nie dopuści. Choćby dlatego, że ciągle zbyt dobrze pamięta tamten gnój, i smród. A poza tym, tak nisko upaść to może tylko mężczyzna.

Przedwczoraj strasznie wybrudziła buty. Dobrze chociaż, że ich stąd nie widzi. Ale wie, że stoją zaraz za drzwiami. I wie, jak wyglądają. Wczoraj też o nich myślała.

Do kuchni nie ma dalej niż dziesięć, dwanaście metrów, od samego łóżka, przez stołowy i przedpokój, do kuchennego stołu czy do zlewozmywaka (żadna różnica, bo to nie jest duża kuchnia), więc pewnie należało wszystkie te kubki, szklanki, talerze i talerzyki, niektóre z niedojedzonym żarciem, tam zanieść, a nie zostawiać na podłodze w sypialni. Może je przecież zabierać z sobą przy okazji, kiedy idzie do łazienki. Drzwi do łazienki to są już dosłownie o jeden metr od drzwi do kuchni. A przecież myje się codziennie;

no, pewnie kilka, może kilkanaście razy w całym życiu tak jej się niczego nie chciało, że przez parę dni ani nie wzięła kąpieli, ani się nawet nie umyła. Ale nawet wtedy korzystała z łazienki. Dwa razy jej się zdarzyło, już jak była dorosła, całkiem nie tak dawno temu, zmoczyć pościel, i to nie dlatego, że była taka nietrzeźwa czy w jakiejś tam depresji; miała chory pęcherz; bo ma kłopoty, regularne, z tym cholernym pęcherzem. Więc mogłaby odnosić naczynia, choćby przy okazji; jak idzie do łazienki; powinna tak robić; wie o tym od dawna; to tylko jeden dodatkowy metr. Ale zawsze metr. Od dawna o tym wie.

A poza tym takie sprzątanie na raty, takie dbanie o porządek po trochu, to się ani nie opłaca, ani nie ma sensu. W ogóle się nie liczy. Bardzo lubi, jak jest posprzątane na błysk; nawet jeśli następnego dnia (albo nawet tego samego wieczorem) tak bolą ręce i kręgosłup, że nic innego nie jest w stanie robić, tylko musi się położyć. A to się rzadko dobrze kończy, jak jest tak czymś zmęczona czy zdołowana, że nic, tylko musi się położyć. To właśnie przez te bóle kręgosłupa i rąk – po takich generalnych sprzątaniach – i przez to, co potem (jak się w tym łóżku czuje i czym to się kończy), tak rzadko sprząta, taki tu u niej (sama to dobrze wie) zazwyczaj panuje bałagan.

- Uff.

Długie gadanie, czy nawet myślenie na głos, nawet do siebie, męczy. Męczy okropnie.

- Uff.

Jak myśli o sobie bardzo po cichu, to jest dopiero zmęczona. Taka zjebana się wtedy nieraz czuje, że wołałaby już wyć. Gdyby nie miała sąsiadów.

Jeden. I weźmie książkę.

Którąkolwiek. Albo z tych, które czekają na stole, w równym słupku i w kolejności, już może piąty miesiąc, na przeczytanie, albo po prostu weźmie coś – na chybił trafił – z regału. Ona na wiele rzeczy czeka przez całe życie (i doczekać się nie może), to tym książkom ze stołu też niczego nie ubędzie, jak jeszcze trochę poczekają.

Nie wiadomo czemu, zmienia plany: ani książka, ani telewizor; przynajmniej nie w tej chwili. Teraz weźmie kąpiel, a posprząta jutro (tu niczego zmieniać nie potrzebuje).

Więc wstaje i idzie. Widzę ją, jak idzie. Naga, drobna, jak stąpa ostrożnie, niczym baletnica czy jakaś księżniczka, na samych paluszkach, żeby nie potrać jakiejś szklanki (z tych, co na podłodze), nie skaleczyć stopy o okruchy rozbitego talerzyka (bo, przecież, nie zawsze jest taka trzeźwa i uważająca jak teraz, więc na podłodze jest trochę odłamków szkła). Przechodząc przez pokój, spogląda – jakby z żalem albo z wyrzutem – w stronę telewizora; najprawdopodobniej jednak po to, żeby w przedpokoju jej oczy nie zahaczyły przypadkiem o te wybrudzone buty.

Telewizor działa, kiedy chce – włącza się czasami od razu (ale to się zdarza coraz rzadziej), czasami po kwadransie, czasami po trzech godzinach od włączenia. Bywa, że nie chce się uruchomić nawet i przez kilka dni. Tak jest od dobrych paru lat. W ogóle nie wyłączać telewizora, jeśli już zechce działać, to też nie jest dobry pomysł; nie tylko dlatego, że to przecież trochę kosztuje, jeśli to pudło gra bez przerwy, na okrągło. Coraz bardziej wpieprza ją ten telewizor: mniej więcej przed dwoma tygodniami obudził ją, w środku nocy, rykiem nastawionej prawie na ful fonii; włączyła go wtedy trochę po południu, ale zapomniała wyłączyć, kiedy kładła się spać. Wtedy, przed dwoma tygodniami, już nie usnęła, wcale zresztą nie chciała usnąć; oglądała różne rzeczy, na różnych kanałach; herbaty nawet nie chciało się jej zrobić; przez kilkanaście godzin; bez przerwy. Bo (rzadko, ale jednak) potrzebuje telewizora. Mogłaby sobie kupić nowy, choć na to potrzeba ciągle sporo kasy. Tego naprawiać to się zupełnie nie opłaca; tyle razy naprawiali już tę usterkę (dokładnie tę samą), że kolejna naprawa to by było całkowite wyrzucenie pieniędzy. Już lepiej kupić za to kilka butelek wina; albo cokolwiek (jakieś nowe buty, na przykład); albo nawet wyrzucić te pieniądze do Wisły. Wyszłoby na to samo.

Przeszła. Jest w łazience. Zatyka wannę, odkręca kurki, minutę, może dwie stoi i przygląda się wodzie (właściwie bezmyślnie, ale z najprawdziwszą przyjemnością; sam szum wody może być przyjemny; wiem, bo potrafię stać tak i patrzeć na wodę wypełniającą wannę nawet dłużej niż dwie, trzy minuty; i wiem, jaki przyjemny może być taki bezruch, i takie bezmyślne patrzenie; nawet jeżeli niczego sobie nie wyobrażam, żadnego potoku z dzieciństwa czy jakiegось czeskiego stawu).

Potem – woda się jeszcze leje, zakręci ją dopiero za chwilę – układa w wannie swoje ciało. Gdyby miała w domu fajki, to zapaliłaby sobie papieroska i poleżała w wodzie może nawet z godzinę, może dłużej. Wtedy, może, miałyby dość czasu – wystarczająco, by się rozluźnić – żeby ustalić, tak prawie niezbitcie, czy Rafał mógł zauważyć, jak brudne są te jej buty. Ponieważ znowu postanowiła nie palić (i wytrzymuje z tym postanowieniem, przynajmniej w domu, od marca), to nie ma fajek i już gdzieś po pół godzinie bierze się za dokładne mycie i szorowanie swojego drobnego ciała, każdego jego zakamarka, każdego centymetra skóry (szoruje tak dokładnie, że w niektórych miejscach występują wyraźne czerwone plamy, nie to, że brzydkie, ale całkiem niepotrzebne; to też widzę dokładnie, tak jakbym przyglądał się temu z bliska, z bardzo bliska). I już nawet nie próbuje sobie przypomnieć, co też mogła do Rafała gadać, kiedy zatrzymał auto niedaleko bramy ogrodu botanicznego, ponoć mocno zdziwiony jej widokiem tam, o takiej porze, i zaproponował, że odwiezie ją do domu. Była już cholernie

zmęczona, dlatego zgodziła się na jego propozycję, mimo że przez ponad rok nie odebrała żadnego jego telefonu, nie odpowiedziała na żadnego maila; wie, jak cholernie była już zmęczona, więc nad tym, czemu wsiadła, to nawet nie próbuje się zastanawiać. Nie zastanawia się również, czemu zgodziła się zaprosić go na górę, żeby mogli wypić przynajmniej filiżankę kawy, bo zdaje sobie sprawę, jaka wtedy była pijana (może nawet na tyle pijana, żeby całkiem nie pamiętać, że w domu nie ma żadnej kawy; że kawy to już nie kupuje gdzieś od połowy wiosny; jak się ograniczy zbędne wydatki, to nawet niewielkich oszczędności może wystarczyć naprawdę na długo, choćby się płaciło rachunki telefoniczne, regulowało nawet czynsz i opłaty za światło, za gaz, i inne duperele). Ale buty? Zwrócił na nie uwagę? A ona sama? Czy widziała, jak są wybrudzone te jej ulubione buciki? Wstydziała się tego już w Rafała aucie? Czy dopiero na schodach (bo nie chciała, żeby skorzystali w windy)? Czy, w ogóle, jakie są brudne, zobaczyła, uświadomiła sobie dopiero wtedy, gdy zrzuciła je zaraz za progiem, i – od razu z przedpokojem, tyle że już boso – biegła prosto do sypialni? Albo nawet dopiero wczoraj, kiedy Rafała dawno już tu nie było?

Przerywa na chwilę mycie i próbuje sobie przypomnieć, czy telefon, który wzięła z sobą z łóżka (jak mogłem tego nie zauważyć, że idzie, zwłaszcza najpierw, bardzo powoli i ostrożnie, przez sypialnię, stołowy, przez przedpokój, obok pokoju do pracy całkiem naga, ale z telefonem komórkowym w dłoni) i położyła na pralce, prawie w zasięgu ręki (musiałaby z wanny mocno się wychylić, żeby po niego sięgnąć, ale dałoby się to zrobić; robiła tak wiele razy), jest chociaż włączony. Pewnie tak. Nikt nie zadzwonił przez minione dwie doby (nawet ci, do których ona dzwoniła, tyle że nie odbierali), to czemu miałby dzwonić teraz, kiedy bierze kąpiel.

Więc wraca do mycia.

Potem wychodzi z wanny, wyjmuje korek, wyciera się w duży ręcznik, ten brzoskwinowy, który pachnie jeszcze całkiem przyjemnie. Nie robi tego szczególnie dokładnie, bo zaobserwowała, że oliwka po lekko wilgotnej skórze rozciera się lepiej niż po wytartej całkiem do sucha. Kiedy już jest wysmarowana oliwką cała (każdy zakamarek ciała, każdy centymetr skóry), owija się ręcznikiem i zamierza wyjść z łazienki. Ale dochodzi do wniosku (tak sobie przynajmniej myślę; też ćwiczyłem taki problem), że jeśli w tym wilgotnym ręczniku (bo to jest ten sam ręcznik, którym się przed chwilą wycierała) wróci tam, gdzie zamierza wrócić, to albo będzie musiała go rzucić na podłogę (w cały ten syf), albo położyć na łóżku czy na krześle, na którym wiszą jej ciuchy (Rafał zrzucił je wszystkie na podłogę, kiedy zakładał swoje, ale wrzasnęła na niego – bo aż takiego chamstwa postanowiła więcej nie tolerować – i pospiesznie, byle jak, na kupę, ale z powrotem położył jej rzeczy i bieliznę

na właściwe miejsce). A ręcznik jest mocno wilgotny, więc to nie jest najlepszy pomysł; na pościeli albo na spódnicy mogłyby zostać brzydkie plamy.

Dlatego naga idzie do kuchni. W lodówce jest niewiele rzeczy, ale – faktycznie, tak jak myślała – znajduje tam napoczętą butelkę wina; jest tego więcej niż jeden kieliszek; sporo więcej. Ale nalewa sobie jeden. Tylko jeden. Tak jak postanowiła. I rusza w stronę sypialni.

Wraca do łóżka; po drodze weźmie książkę; z tych ułożonych równo na stole, przy którym pracuje (jeśli pracuje; ja też mam takie biurko tylko do pracy; i dużo książek na nim, czekających na przeczytanie; tyle że nigdy nie były ułożone ani równo, ani w kolejności). Uważa, żeby przypadkiem nie spojrzeć na buty. Na te buciki, które tak lubi, w których – sama nie bardzo wie dlaczego – czuje się tak dobrze, a które przedwczoraj niemiłosiernie skatowała. Te ciemnoczerwone.

Zanim jednak weźmie książkę (z samego wierzchu, pierwszą), zawraca do lodówki i zabiera z sobą butelkę wina.

Udaje jej się nie spojrzeć w stronę drzwi wejściowych.

Mimo że będzie jej musiała minąć jeszcze dwa razy (drzwi i buty, które pod nimi stoją). Bo dopiero kiedy układa się z książką w łóżku (obok łóżka stoi już i kieliszek – jeden, z winem – i butelka), przypomina sobie o telefonie pozostawionym w łazience. Musi po niego wrócić. Choćby dlatego, że nie ma pewności, czy jest włączony. Nawet gdyby był włączony, nie mogłyby tam zostać. Może nie włączyć komputera (nawet przez kilka dni; i nawet przez kilka dni nie sprawdzać poczty), może nie oglądać tygodniami telewizji (czasami nie może oglądać, nawet gdyby chciała, bo telewizor działa tak, jak działa), może nie puszczać płyt czy radia, ale telefon musi mieć włączony; i przy sobie. Właściwie ma go włączony na okrągło, bo do świata ma bliżej przez telefon niż przez szybę. Dużo bliżej. Prawie tak blisko jak do kaczek.

Teraz znowu telefon ma obok siebie bliźniutko, tak że się bliżej nie da; tak jak lubi; śpi z nim (nie teraz; teraz jeszcze nie śpi). Teraz tak ją zmęczyły te podróże po własnym mieszkaniu, że – przynajmniej na razie – z pewnością nie zacznie czytać. Teraz to ma siłę tylko na to, żeby znowu zacząć rozważać, czy nie podejmuje zbyt pochopnie zobowiązań zupełnie ponad siły (przecież nie upije się, nawet jeśli dokończy tę butelkę, którą przyniosła z lodówki; nawet jeśli gdzieś w sypialni, albo w stołowym, nie ma innej napoczętej butelki, to po południu, czy wieczorem, czy choćby w nocy – do całodobowego ma z domu może pięćset, może sześćset metrów – uspokoi się na tyle, żeby ubrać się, wyjść i kupić wino). Będzie tylko musiała wyczyścić te pieprzone buciki. I może jednak nie powinna znowu usuwać numeru Rafała z listy „odrzuconych” (bo nad tym też się teraz

zastanawia; na to ma jeszcze siły; żeby usunąć numer Rafała z tej listy; i póki co jeszcze dość sił, żeby się zastanawiać, czy na pewno powinna to zrobić). Może mogła też nie rzucać palenia (przecież tylko będzie znowu wstydziła się za siebie, kiedy do nałogu wróci)? I dłużej mogłaby zostać w wannie.

Wie, tyle przynajmniej wie, że – cokolwiek by zrobiła, jakichkolwiek by dokonała wyborów – to wstanie i posprząta. Jutro.

Co do tego ma absolutną pewność; taką samą, jak ta, że nie chce już więcej siadać nad tym czeskim stawem, obojętne, sama czy razem z Adamem, nad tym śmiesznym (jak właściwie wszystko u Czechów) bajorkiem właściwie, gdzie zaczęła jej świtać myśl, że z Adamem to już, na dobrą sprawę, koniec, mimo że siedzi obok niej, że nic o tym końcu (ani Adam, ani ona) nie mówią i że obojgu im (zdaje się) nad tym czeskim stawem tak jest dobrze (choćby dlatego, że świeci słońce, że są lekko zmęczeni kilkugodzinnym spacerem po niewysokich górach, że jeśli ktoś ich mija, to nie częściej niż co kilka, kilkanaście minut i że nikt nie próbuje nic do nich mówić, co najwyżej ich pozdrawia, i to w obcym języku; tak samo jak ona, i pewnie Adam, o tej prawie doskonałej chwili myślą zapewne kaczkę, które pływają po stawie i czasami zbliżają się do nich dosłownie na wyciągnięcie ręki).

Nie gra radio, nie włączyła telewizora (a nawet gdyby włączyła, to nie ma żadnych gwarancji, że telewizor chciałby się włączyć), na razie nie chce nawet czytać książki. Więc dalej zastanawia się trochę nad sobą, trochę nad życiem.

Gdyby zamurowała (od strony korytarza) drzwi do swojego mieszkania (nie umie murować, ale mogłaby się nauczyć; nie takich rzeczy nauczyła się w życiu), to by nie dało się wyjść po wino (też rozważałem takie rozwiązanie – i też gotów byłem wyuczyc się murarki – kiedy dotarło do mnie, że brak pieniędzy wcale nie rozwiązuje problemu picia); nikt by się nie domyślił (z tamtej strony), że ona tutaj (po tej stronie) nadal mieszka; skończyłaby się naiwna wiara, że spacerować wczesnym rankiem albo o późnym zmierzchu, albo nocą (lekki chłód, taka jak trzeba wilgotność powietrza, prawie zupełny brak ludzi) pomogą uspokoić nerwy (bo nie dałoby się wyjść na żaden spacer), czy że – tak spacerując – można wrócić choćby i nad czeski staw. Problem w tym, że gdyby to nawet było możliwe (gdyby mogła zamurować drzwi od tamtej strony), to po tamtej stronie musiałaby już zostać (nie da się być naraz po tej i po tamtej stronie muru; *taki to świat, niedobry świat. Czemuż innego nie ma świata?*).

Mogłaby pozostać tu, a poprosić kogoś (niekoniecznie takiego ciula jak Rafał), żeby postawił ten mur, właściwie niedużą ściankę. Ale ona już wie (z taką samą pewnością, jak wie to, że wstanie i posprząta; jutro), iż od nikogo nie potrzebuje i nie chce niczego,

nie tylko pomocy. To jest najgłupsze, czego człowiek może chcieć – chcieć czegoś od kogoś innego, w ogóle czegoś od kogoś innego (jeśli już masz stuprocentową pewność, że jesteś w ciąży); i troszczyć się o to, żeby tę ciążę donosić do końca. A spodziewać się czegoś po kimś drugim to jest tak, jakby się siedziało cicho, kiedy twoje rajstopy, majtki, bluzka, w ogóle wszystko, co miałaś wcześniej na sobie, lądują na podłodze, tak jakby dało się nie zauważyć, jaki tam panuje syf; nawet jeżeli komuś się wydaje, że już dostał to, co chciał dostać od ciebie, czy też dlatego, że uważa, że dał ci to, czego oczekiwałaś (a nie dostał nic, i nic ci nie zostawił; nic, co by miało jakiegokolwiek znaczenie), i to (niby) ma usprawiedliwić cały ten jego pośpiech, nieostrożność, i chamstwo.

– Uff.

Nawet myśląc o takich pierdołach, człowiek strasznie się umęczy.

Tylko rzeczy proste. Jak w piosenkach (dokładnie tak samo, jak sobie postanowiłem z pisaniem).

Tylko pojedyncze zdania.

I jeden kieliszek wina.

Wstać. I posprzątać.

Jutro.

Michał Noszczyk

### **From Leśmian**

Summary

*Z Leśmiana* is a text devoid of any provocativeness; it is a short, traditional piece of prose. It has only one nameless female protagonist, because – as is the author's intent – she reveals the feminine side of his soul. The story is related to a "discursive" text, because Michał Noszczyk – in the case he did not manage to finish his speech for the National Memetic Scientific Workshop – was to read this piece of poetic prose (or at least, suggest reading it to the participants). It seems fitting, inasmuch his – the author's – main prop (along with the red shoes) is a cellphone.

Michał Noszczyk

### **De Leśmian**

Résumé

*De Leśmian* est le texte dépourvu de toute provocation ; il s'agit d'une prose brève et traditionnelle. Il y a une seule héroïne sans nom parce que, d'après l'auteur, cette héroïne dévoile le côté féminin de son âme. Les liens entre le récit et le texte « discursif »

résident dans le fait que si Michał Noszczyk n'avait pas préparé à temps sa communication pour les Rencontres scientifiques de Mémétique en Pologne, il aurait fait la lecture de cette prose poétique (ou, du moins, il aurait fait une telle proposition aux participants des Rencontres) ; ceci semble d'autant plus justifié que le seul accessoire de l'auteur (outre des chaussures rouges), c'était le téléphone portable.